

Kalendarium życia Teresy Tyszkiewicz

- 8 czerwca 1906 – Teresa Tyszkiewicz przychodzi na świat w Krakowie
- 1924 – uzyskanie matury w Instytucie ss. Urszulanek w Krakowie
- 1926 – podjęcie studiów w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Krakowie
- 1928 – rozpoczęcie edukacji w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych
- 1933 – ukończenie studiów; zawarcie związku małżeńskiego ze Stanisławem Tyszkiewiczem
- 1936 – przypuszczalnie pierwsza wystawa w Towarzystwie Sztuk Pięknych we Lwowie
- 1938 – Tyszkiewiczowa w zarządzie lwowskiego ZPAP
- 1939 – ucieczka z Lelechówki; pobyt w zamku Radziwiłłów w Ołyce i Lwowie
- 1940 – przedostanie się Tyszkiewiczów do Warszawy; rozpoczęcie działalności w RGO
- 1944 – pobyt w Krakowie po Powstaniu Warszawskim
- 1945 – przeprowadzka Tyszkiewiczów do Łodzi
- 1946 – rozpoczęcie pracy w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych; uzyskanie dyplomu z malarstwa u Felicjana Szczęsnego Kowarskiego
- 1949 – utrata pracy na Uniwersytecie Łódzkim przez Stanisława Tyszkiewicza
- 1950 – odejście Tyszkiewiczowej z pracowni malarstwa PWSSP w Łodzi
- 1951 – objęcie kierownictwa w Katedrze Druku na Tkaninie PWSSP
- 1954 – śmierć Stanisława Tyszkiewicza
- 1956 – wizyta Tyszkiewiczowej w Rodezji, pierwsze spotkanie po wojnie z bratem – Włodzimierzem Ledóchowskim
- 1959 – podróż do Rzymu
- 1964 – podróż do Paryża
- 1973/1978¹⁹⁸ – odejście Tyszkiewiczowej na emeryturę
- 1984 – uzyskanie tytułu profesora zwyczajnego
- 1992 – Teresa Tyszkiewicz umiera w Łodzi

¹⁹⁸ Zob.: J.K. Głowacki, *Teresa Tyszkiewiczowa...*, s.496, zob. także: J. Chrobak (red.). *Teresa Tyszkiewicz. Stowarzyszenie Artystyczne...*, s.52

Rozdział 2. Rozmowy o Teresie Tyszkiewicz

2.1. „Tylko *kwistry* się martwią”. Rozmowa z Janem Ledóchowskim¹⁹⁹

Iga Knysak: Jak wyglądało życie codzienne rodziny Ledóchowskich, gdy Teresa Tyszkiewicz była dzieckiem?

Jan Ledóchowski: Ledóchowscy dysponowali mieszkaniem w Krakowie i to była ich, można powiedzieć, główna siedziba. Tam też rodziły się ich dzieci: Jadwiga, Teresa, Józefa (Inka) i Włodzimierz – mój ojciec. Rodzice zadbali oczywiście o edukację swoich pociech. Córki zapisali do szkoły Urszulanek w Krakowie, znajdującej się nieopodal ich domu. Syn natomiast uczęszczał do słynnej szkoły jezuitów z internatem w Chyrowie. Rodzina dużo podróżowała, zatrzymując się wszędzie tam, gdzie akurat stacjonował Ignacy, który był austriackim pułkownikiem, a w późniejszych latach polskim generałem. Wiem, że jeden z domów służbowych mojego dziadka znajdował się w Łodzi, więc całkiem prawdopodobne jest, że Teresa po raz pierwszy zetknęła się z tym miastem w latach 20. XX wieku, podczas odwiedzin u ojca. Co ciekawe, to właśnie osoby Ignacego dotyczyła większość wspomnień z dzieciństwa mojego ojca i ciotek.

I.K.: Czym wywierał tak wielki wpływ na swe dzieci?

J.L.: Jako generał, Ignacy Ledóchowski był odważny, zdyscyplinowany, honorowy i sumienny. Tego też chciał nauczyć swoje dzieci, w związku z czym atmosfera ich domu przesiąknięta była wojskową musztrą. Proszę sobie wyobrazić – gdy Ledóchowscy wybierali się na proszony obiad, wyjeżdżali z domu dużo wcześniej. Ignacy kazał szoferowi kręcić się wokół kwartału, dwie minuty przed czasem zatrzymać się pod właściwym adresem, a dokładnie o umówionej godzinie, wraz z dźwiękiem trębacza mariackiego – dzwonił do drzwi. Dzieci umierały przy tym ze śmiechu i nazywały ojca „pampasem”. Tak jak wspominałem wcześniej, mój ojciec uczęszczał w latach 20.

¹⁹⁹ Jan Ledóchowski – ekonomista, absolwent Uniwersytetu Cambridge i Uniwersytetu Kingston, autor filmów i reportaży o tematyce wojennej i polonijnej. Syn Włodzimierza i Barbary Ledóchowskich, bratanek Teresy Tyszkiewicz. Rozmowa odbyła się 9 lipca 2019 r. w Warszawie.

XX wieku do szkoły jezuitów w Chyrowie – nota bene z Ksawerym i Misiem Pruszyńskimi²⁰⁰. Teresa i Inka opowiadały mi, że jako młody chłopak wysłał do nich kiedyś list, w którym pisał mniej więcej tak: „Słyszałem od dyrekcji, że pampas przyjeżdża. Pobiegłem od razu do wszystkich kolegów i krzyknąłem „Hannibal ante portas! Ścielcie łóżka”. Był przekonany, że generał zrobi inspekcję wszystkich pokoi, tak jak właśnie robił w rodzinnym mieszkaniu w Krakowie. W kolejnym liście, z wielkim rozczarowaniem a zarazem ulgą, napisał do siostr, że ojciec w ogóle do internatu nie przyszedł, ponieważ przyjechał do Chyrowa tylko po to, aby odbierać defiladę harcerzy. Matka dzieci, Paulina z domu Łubieńska, bardzo kochała męża i nie interweniowała, gdy ten stawiał przed dziećmi żołnierskie wymagania.

Oczywiście dzieciństwo i młodość Jadzi, Teresy, Inki i Włodka nie polegały jedynie na ciągłym dyscyplinowaniu. Wspomnienia beztroskich chwil wiązały się u nich zawsze z Jadwigą Łubieńską – babką po kądzieli. Dzieci spędzały każde święta i wakacje w pełnym stawów rakowych Krakowcu, gdzie znajdował się pałac Łubieńskich, lub ewentualnie w należącej do ich matki Wólce Rosnowskiej. Rodzeństwo mogło przebywać na świeżym powietrzu, jeździć na wycieczki, spacerować, a także poznawać sąsiadów, to znaczy właścicieli pobliskich majątków ziemskich.

I.K.: Jednym z takich sąsiadów był Stanisław Tyszkiewicz, przyszły mąż Pana ciotki. Czy wie Pan w jakich okolicznościach się poznali?

J.L.: Nie posiadam dokładnej wiedzy na temat ich pierwszego spotkania, lecz z pewnością nie był to przypadek. Majątek rodziny Ledóchowskich znajdował się w niewielkiej odległości od Lelechówki – posiadłości Tyszkiewiczów. Rodziny te łączył tak zwany dziś ziemiański styl życia – miesiące ciepłe spędzali w pałacach i dworach w okolicy Lwowa, a zimy w Krakowie. Stanisława i Teresę łączyła zatem nie tylko miłość, ale też codzienność. W dodatku każdy kto udawał się do Lwowa, musiał właśnie przez Lelechówkę przejechać, a więc okazji do spotkań było wiele.

I.K.: Jak Pana ojciec wspominał szwagra?

²⁰⁰ Bracia Ksawery (1907–1950) i Mieczysław (1910–2005) Pruszyńscy pozostawali w bliskich stosunkach z Tyszkiewiczową przez całe życie. Jak wspominała Zofia Libiszowska: „Mieczysław Pruszyński (...) wraz z żoną i dziećmi stali się dla Teresy, po śmierci jej męża, najbliższą, opiekuńczą rodziną.”, zob.: Z. Libiszowska, *Wspomnienie...*, s. 55.

J.L.: Rzadko o nim mówił. Znam tylko jedną historię, zgodnie z którą Stanisław miał obrazić się na dużo młodszego od siebie Włodzimiera za to, że spóźnił się on na obiad. W końcu pojawił się wraz ze swą przyjaciółką, należącą do nielubianej przez Tyszkiewicza rodziny. Stanisław dał im porządną reprimendę. Włodzimierz próbował się bronić, „Ależ my poszliśmy sobie tylko na spacer!” – powiedział. Stanisław gniewnie odparł: „Tak? To czemu macie tyle trawy we włosach?!”. Mój ojciec, opowiadając tę anegdotę, śmiał się z Tyszkiewicza niczym z pampasa.

I.K.: Tyszkiewiczowa, tak jak jej brat, była buntowniczką. Jej mąż z charakteru przypominał jednak ojca. Jak się dogadywali?

J.L.: To jest bardzo ciekawe pytanie, na które nie znam odpowiedzi, także dlatego, że nigdy nie poznałem Stanisława. Myślę, że to małżeństwo działało na zasadzie przyciągania się przeciwieństw. On – pełen powagi – zarządzał majątkiem. Ona zajmowała się sztuką. Była dla niego aniołem, który krążył po ich wspólnym domu. Stanisław nie tylko tolerował jej buntowniczy charakter, ale najwyraźniej musiał go też lubić.

I.K.: Czy tak samo tolerował i lubił jej twórczość?

J.L.: Gdy oni się pobrali, Teresa była 27-letnią kobietą po studiach artystycznych. Rodzice zgodzili się na ten kaprys, musieli więc przyjąć konsekwencje swojej decyzji. Napewno odetchnęli z ulgą, gdy Teresa wyszła za mąż i ten „problem” przeszedł do Tyszkiewicza. W Lelechówce Teresa kontynuowała swoją działalność, miała własną pracownię, prowadziła salon i zapraszała ciekawych gości. Dla Stanisława ta sytuacja najprawdopodobniej była bardzo korzystna. Organizując życie towarzyskie, artystyczne i intelektualne, Teresa stanowiła ogromny atut dla magnackiego domu.

I.K.: Ale jak Pan sam zauważył, jej malarstwo było dla rodziny pewnym „problemem”. W jaki sposób odnosił się do niego Pana ojciec?

J.L.: Mój ojciec uważał, że Teresę należy wspierać. Nie był jednak znawcą sztuki, a kompozycje tworzone przez siostrę były dla niego przede wszystkim piękne i tylko w tej kategorii je oceniał. Kiedy Teresa zaczynała karierę, ojciec był zbyt młody, by mieć na ten temat swoje zdanie, natomiast stanowisko całej rodziny było dość jasne. Aby je przedstawić po raz kolejny posłużę się zabawną anegdotą o Ignacym, opowiedzianą mi kiedyś przez samą ciotkę. Ponoć studenci jej

uczelnicy organizowali niekiedy wystawy własnych prac. Na jedną z takich ekspozycji Teresa – zapewne dumna ze swoich postępów w nauce – zaprosiła rodzinę. Zaprezentowała tam portret kobiety. Modelka ubrana była w krótką jak na tamte czasy spódnicę, siedziała w swobodnej pozie, a pomiędzy jej nogami zaznaczała się zacieniona przestrzeń. Generał wrócił z Warszawy nie tyle oburzony, co wściekły. Napisał do córki bardzo oficjalny list po francusku, w którym zabronił jej podpisywania prac nazwiskiem rodziny. „Ce triangle noir – grzmiał ze złości – c’est évident où ça mène”²⁰¹! Zamykając już temat Ignacego – nie jestem przekonany czy on naprawdę był taki straszny. Dysponuję kilkoma fotografiami z rodzinnych spotkań – niektóre z nich można obejrzyć na poświęconej mu stronie internetowej). Widzimy na nich uśmiechniętego starszego pana, który niczym nie przypomina groźnego wojskowego. Jako ojciec z pewnością chciał przekazać dzieciom nieco dyscypliny. Także ja otrzymałem tę lekcję od ojca. Pewnego razu, podczas podróży statkiem okropnie płakałem, choć dziś nie wiem czemu. Ojciec podniósł mnie, wystawił za burtę i trzymając nad wodą powiedział: „Musisz się nauczyć być mężczyzną Janie! Kiedy przestaniesz płakać, odstawię cię z powrotem na pokład”. A więc młody buntownik, gdy został ojcem, sam zaczął się zachowywać niczym pampas. Tamte pokolenia były wychowane w pewnym sensie przez wojsko, a największy wpływ na ich charakter miały wydarzenia wojenne.

I.K.: I wojna światowa ukształtowała sposób życia Ledóchowskich. Jak II wojna światowa zmieniła rodzinę?

J.L.: Na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi... We wrześniu 1939 roku nikt nie wiedział co się wydarzy w najbliższym czasie. Arystokraci zdawali sobie jednak sprawę, że wrogie wojsko będzie szukać polskich elit. Tyszkiewiczowie opuścili Lelechowkę bardzo szybko i uciekli przed Niemcami na wschód. Wkrótce okazało się, że zagrożenie nadchodzi także z tamtej strony, od bolszewików. Małżeństwo znalazło chwilowo schronienie na zamku Radziwiłłów w Ołyce, lecz chwilę później dotarli tam radzieccy żołnierze. Nie wiem jak to się stało, że udało im się z Ołyki wydostać. Słyszałem, że po prostu ich wypuszczono ponieważ Stanisław był cywilem. Nie mieli gdzie wracać, więc udali się do Lwowa. Tam, w klasztorze Urszulanek, ukrywali się już rodzice Teresy. Warto wspomnieć tutaj o pomocy, jaką Ignacy i Paulina Ledóchowscy otrzymali w tym ciężkim okresie, nie tylko od sióstr, ale także z Wólki Rosnowskiej. Zarządca jej majątku regularnie

²⁰¹ fr. „Ten czarny trójkąt – wiadomo do czego to prowadzi!”, tłum. I.K.

wysyłał do Lwowa kierowcę z pieniędzmi i jedzeniem. W 1939 wszyscy myśleli przecież, że właściciele mogą wrócić w każdej chwili.

I.K.: Co działo się później?

J.L.: Zarówno Tyszkiewiczowie, jak i Ledóchowscy, spędzili we Lwowie kilka miesięcy. Teresa i Stanisław w lutym postanowili uciec i przeszli przez zamarznięty San, a następnie kierowali się do Warszawy. Rodzice Teresy przedostali się do Generalnej Guberni w inny sposób. Ponieważ przepływ informacji praktycznie wtedy nie istniał, wiele osób uważało, że po stronie niemieckiej jest zdecydowanie lepiej, niż po stronie rosyjskiej, na wschodzie. Trzeba pamiętać, że NKWD szukało, aresztowało i wywoziło oficerów i elitę, których, jak teraz wiemy, czekał smutny los w Katyniu. Ignacy i Paulina tuż przy granicy kupili dokumenty od Żydów, którzy zrezygnowali z przeprawy na stronę niemiecką po tym, jak wysłuchali opowieści innej rodziny żydowskiej uciekającej w przeciwnym kierunku.

I.K.: Po dotarciu do Warszawy, Tyszkiewiczowie starali się wieść normalne życie. Czy można im zarzucić, że nie zaangażowali się w pracę na rzecz Polski?

J.L.: Stanisław i Teresa oficjalnie pracowali w Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO)²⁰². Sprawa ta jest mocno kontrowersyjna w związku z narracją narzuconą przez władze po wojnie. Członkowie RGO pochodzili przeważnie z ziemiaństwa. Ponadto organizacja funkcjonowała legalnie, na zasadzie współpracy z Niemcami, w związku z czym jej pracowników przedstawiano jako zdrajców i kolaborantów. Była to jednak misja charytatywna, pomagająca Polakom cierpiącym pod okupacją niemiecką. Otrzymała wsparcie od Stanów Zjednoczonych i udzieliła dużo pomocy nie tylko Żydom ale także uchodźcom z „Reichu”. Nie sądzę, żeby ciotka i jej mąż wstąpili do RGO dla profitów.

I.K.: Dlaczego Tyszkiewiczowie nie wybrali działalności konspiracyjnej?

J.L.: Zapewne uznali, że w RGO mogą więcej zrobić. A robili naprawdę dużo. Stanisław w 1943 roku jako specjalny wysłannik pojechał z Warszawy do Krakowa, by poinformować Ronikiera,

²⁰² Zob.: s. 19.

szeffa RGO o odwetowych egzekucjach na Polakach w Warszawie. Dzięki tej informacji Ronikier mógł zareagować i odmówił uczestnictwa reprezentacji RGO w niemieckich uroczystościach. Tyszkiewiczowie, gdy już raz zdecydowali się na działalność jawną, nie mogli z niej tak po prostu zrezygnować. Chodziło o to, żeby RGO było „czyste”. Mój ojciec, który jeździł na Węgry jako kurier Armii Krajowej, proponował ponoć nie tylko znanym rodzinie Żydom ale także Tyszkiewiczom, aby wybrali się wraz z nim w podróż i uciekli z kraju przez tzw. „zieloną granicę”. Ale oni nie chcieli podjąć tego ryzyka. Mieli mieszkanie w Warszawie i jeszcze czuli się bezpiecznie. Propozycja ta padła jednak na początku wojny. Być może kilka lat później podjęliby inną decyzję. Wiele osób uważało że należy pozostać w kraju, bo pomaganie narodowi na miejscu jest ich obowiązkiem patriotycznym.

I.K.: Co rodzinie przyniósł koniec wojny?

J.L.: Rodzina była zupełnie rozbita. Przede wszystkim, nie było do czego wracać. Teresa i Stanisław pojechali w 1945 roku do Krakowa, po tym jak otrzymali informację, że pałac Tyszkiewiczów ma zostać upaństwowiony. Na miejscu zjawili się incognito i to niezwykle w osobliwym momencie – zebrani tam ludzie wynosili z budynku wszystko, co tylko się dało, a widząc zaskoczone miny przybyszów, nie mając pojęcia kim oni są, wołali: „Zabierzcie co chcecie! Zabierzcie co chcecie!”. Być może udało im się uratować kilka rzeczy, kilka obrazów, trochę mebli. Nie była to jednak największa tragedia. W marcu 1945 roku w niemieckim obozie zginął Ignacy, aresztowany za działalność konspiracyjną. W Lipnicy odbyła się wielka msza żałobna w jego intencji. Po uroczystości Inka zabrała matkę do klasztoru w Otorowie. Jadwiga służyła jako sanitariuszka w powstaniu warszawskim, a po nim wróciła do klasztoru w Krakowie. Mój ojciec cały czas przebywał poza granicami kraju. Był „spalony” po tym jak w lecie 1940 roku uciekł z aresztu gestapo do Budapesztu, a jego obecność w Polsce zagrażała znajomym i rodzinie. O tym, że gestapo faktycznie go szukało u sióstr i rodziców, dowiedział się dopiero po latach. Gdy poślubił moją matkę, córkę ambasadora rządu emigracyjnego we Francji – Kajetana Morawskiego, zamknęły się za nim kolejne drzwi powrotu do komunistycznej już wówczas Polski. W międzyczasie dowiedział się, że poszukiwani są inżynierowie, którzy gotowi byliby wyjechać do Afryki Południowej, wówczas kolonii brytyjskiej.

I.K.: Kiedy udało mu się porozmawiać z rodziną o wszystkich zajściach, mających miejsce po tym jak opuścił Polskę?

J.L.: W 1957 roku, kiedy po raz pierwszy odwiedził Polskę w związku z odwilżą. Było to ogromne wydarzenie. Minęło w końcu tyle lat! Matka już nie żyła. Rok później wizytą zrewanżowała się Teresa. Miałem wtedy 4 lata i pamiętam niewiele ponad to, że była, dużo paliła i cały czas malowała obrazy, w tym piękny portret mojej mamy²⁰³. Koszty podróży z Polski do Południowej Afryki były ogromne, w związku z czym w kolejnych latach to rodzice odwiedzali Europę i starali się robić to tak często jak tylko mogli – średnio co 2 lata. W 1966 roku pierwszy raz zabrali mnie ze sobą. Poznałem więc całą rodzinę dopiero jako 13-latek. Podczas tej podróży odwiedziliśmy Kraków, Łódź i klasztor w Otorowie. Było to gorące lato. Pamiętam brak ulubionej przeze mnie Coca-Coli, ale na ulicach były takie wózki...

I.K.: Saturatory.

J.L.: Można było w nich kupić sok z wodą gazowaną. Wielka frajda dla dzieci! Nie znaleźliśmy z bratem wcześniej takiego czegoś. Właśnie tego lata poznałem znowu ciotkę Teresę. Jej mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze wieżowca przy ul. Przyszkole. Było to studio z wysokimi oknami, za którymi rozpościerał się widok na Łódź. Wiszące na ścianach abstrakcyjne obrazy kontrastowały z klasycznymi wnętrzami, co dawało wrażenie nowocześnie urządzonego mieszkania. Część mebli – między innymi kanapy, na których teraz siedzimy – musiała uratować z Krakowa, albo kupić w Desie. Reszta wyposażenia była dość podstawowa, jednak zadbane. Mieszkanie było spore, ponieważ pełniło też funkcje pracowni artystycznej. Podczas naszej pierwszej wizyty w Łodzi wszyscy byli bardzo zajęci rozmową – w końcu nie widzieli się wiele lat. Mama odeszła ze mną od stołu, wskazała na obrazy i spytała: „Zobacz Janie, jak myślisz, co to jest?”. Szybko krzyknąłem: „Wiem! To jest Kubuś, kiedy leży, a tu kiedy biega, a to jest Kubuś, kiedy wskakuje na kanapę!”. A Kubuś to był jej czarny pudelek. Wszyscy, łącznie z Teresą, bardzo się śmiali z moich dziecinnych interpretacji.

I.K.: Jak zapamiętał Pan ciotkę?

J.L.: Była chodzącym obrazem. Zawsze elegancka, lecz nie ekstrawagancka. Lubiła kolory stonowane, długie spódnice, a do pracy spodnie. Przy szyi zawsze miała apaszkę. Obowiązkowym

²⁰³ Zob.: „Portret Basi”, online: www.ledochowski.eu/rodzina/ttyszkiewiczpl.html, dostęp: 02.07.2020

dotądkiem była długa, szklana fifka, przez którą paliła przecięte na pół papierosy. Rozmowy z nią były niezwykle przyjemne, bo zadawała celne pytania i nie wydawała pochopnych sądów. Bardziej od opowiadania o sobie interesowało ją to, co się dzieje na świecie. Wypytywała co robię na codzień, jak wyglądają zajęcia na mojej uczelni, gdzie pracuję, co robię w Londynie, co mówią Anglicy o komunizmie, jak myślą – ile to jeszcze przetrwa? Kochała muzykę. Interesowało ją, czego ludzie słuchają na Zachodzie. Często pytała: „Który pianista cieszy się teraz w Anglii największym uznaniem? A dyrygenci? Barenboim²⁰⁴, czy Previn²⁰⁵?” Ciągle dopytywała. Chciała nawet wiedzieć co się dzieje w ekonomii światowej. Odpowiadałem jak mogłem, będąc studentem ekonomii na Cambridge lub później pracownikiem banku w londyńskim City, ale czasami w ogóle nie znałem odpowiedzi, bo młoda osoba o takich rzeczach po prostu nie myśli. Niestety z tego samego powodu sam nie zadałem jej wielu pytań, na przykład o czasy wojny czy choćby o pracę na uczelni.

W latach 80. odwiedzałem ją już sam, bez rodziców. Jedną z tych podróży miała miejsce podczas stanu wojennego, w 1982 roku. Przez to, że rzadko się widywaliśmy, zawsze mieliśmy sobie bardzo dużo do powiedzenia. W tym czasie byłem już dorosłym mężczyzną, podjąłem pracę. Teraz tego żałuję, lecz po prostu nie mogłem być ciągle w Polsce. To prawda – zdarzało mi się spędzić dzień czy dwa w Warszawie. Ale przyjeżdżałem służbowo, a to oznaczało, że nie mogłem w dowolnym momencie wybrać się do Łodzi. Do tego dochodził bardzo utrudniony kontakt telefoniczny. Żeby porozmawiać z ciotką, dziś wystarczyłoby abym podniósł słuchawkę i wykręcił jej numer. W tamtych latach konieczne było zamówienie rozmowy międzynarodowej. Na połączenie trzeba było poczekać. Zdarzało się, że wyznaczano je w ciągu dnia, kiedy ludzie byli w pracy lub załatwiali sprawunki. To oznaczało, że należy zamówić kolejny telefon do Łodzi. A zamiast głosu ciotki, w słuchawce jedynie komunikat: „rozmowa kontrolowana, rozmowa kontrolowana, rozmowa kontrolowana”. Mogło to trwać nawet trzy, cztery, czy pięć dni, zanim w ogóle się do niej dodzwoniłem.

I.K.: Czy Tyszkiewiczowa próbowała przekazać Panu pewne wartości, zaszczerpić jakąś postawę?

²⁰⁴ Daniel Barenboim (ur. 1942) – argentyński dyrygent i pianista pochodzenia żydowskiego, żyje i tworzy w Berlinie.

²⁰⁵ André Previn (1929–2019) – amerykański dyrygent, pianista i kompozytor pochodzenia niemiecko-żydowskiego, początkowo znany jako pianista jazzowy oraz kompozytor muzyki filmowej.

J.L.: Moje wizyty były na to zbyt krótkie. Ale czy w ogóle mówiła na temat losów naszej rodziny, historii Polski? Może trochę. Skupiała się raczej na tym co się dzieje tu i teraz. Była zadowolona z pracy i lubiła swoje mieszkanie. Dla wielu arystokratów utrata wszelkich przywilejów i miejsca w społeczeństwie była prawdziwą tragedią, prowadzącą do rozpaczy, a niekiedy nawet głębokiej depresji. A ona przeciwko „hrabiowskiemu” porządkowi świata musiała się zawsze buntować. Być może afirmacja rzeczywistości była jej sposobem na radzenie sobie z traumą.

Oczywiście opowiadała mi o aktualnych wydarzeniach w Polsce i dokładała wszelkich starań, żebym był ich równie świadomy, co każdy mieszkaniec kraju nad Wisłą. Wiem, że była ze mnie dumna, gdy podczas stanu wojennego pracowałem społecznie jako skarbnik organizacji „Pomocy Medycznej dla Polski”, założonej przez grupę znajomych (była wśród nich także moja przyszła żona) w 1981 roku po apelu Lecha Wałęsy. Zebraliśmy pieniądze, leki, jedzenie i ubrania, a następnie wszystko przetransportowaliśmy ciężarówkami do Polski. Było to działanie jawne, a o całej akcji charytatywnej wiedziały władze komunistyczne. Inaczej nie otrzymalibyśmy koniecznych wiz do Polski! Tajemnicą było jednak to, że pod lekami, sprzętem medycznym i stertami ubrań ukryliśmy drukarki, papier i tusz dla opozycji. Pod Łodzią zostaliśmy zatrzymani na kontrolę. Byłem przyzwyczajony do tego, że jeśli w Polsce zatrzymywała mnie milicja, trzeba było dać funkcjonariuszom papierosy. Natomiast we wczesnych latach 80. oni już nie chcieli papierosów. Chcieli mleko w proszku dla dzieci! Od tej pory specjalnie woziliśmy więc produkty tego typu, jako zabezpieczenie w razie zatrzymania przez milicję. Po tej pamiętnej kontroli nocowałem u ciotki Teresy. Cały wieczór opowiadałem jej o mojej organizacji, o podróży przez Europę, o zajściu pod Łodzią. Była niesamowicie zaintrygowana i zadowolona z tego, że jestem zaangażowany.

I.K.: Był pan świadkiem historii patrzącym na wydarzenia trochę od środka – jako Polak, trochę z zewnątrz – jako gość w tym kraju.

J.L.: Szare blokowiska i nieremontowane kamienice robiły na mnie smętne wrażenie, należy jednak pamiętać, że rzeczywistość w Afryce wcale nie malowała się barwniej. Warunki życia białych były znakomite, ale rdzenni mieszkańcy kontynentu, na którym spędziłem wczesne lata mojego życia, żyli w biedzie. Polaków umiejscowiłbym wtedy w połowie znanej mi skali – nie było im tak źle, jak czarnoskórym w Afryce. Ludzie, którzy wychowywali się w Anglii mieli oczywiście na ten temat warunków panujących w Polsce odmienne zdanie.

Czym jednak była dla mnie wtedy Polska? Polska to były te serdeczne ciotki; mili ludzie; uczucie ciepła. I nawet wizyta w mieście tak smutnym jak Łódź nie mogła tego zmienić. Być może to dzięki postawie Teresy, która doceniała to co jest – dobrą pracę, ciekawych znajomych, wygodne mieszkanie. Optymistycznie stawiała na tu i teraz, na możliwości dalszego rozwoju. Przyszłość interesowała ją bardziej niż przeszłość. Pytała mnie pani, czy ciotka próbowała mnie czegoś nauczyć poprzez historię rodziny. Historia nie była dla niej tak ważna, jak sztuka, muzyka, polityka, filozofia... „Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, dobra materialne nie są najważniejsze. Tylko „kwistry” się tym martwią” – ciągle powtarzała. Mój ojciec i jego siostry używali słowa „kwistry”, od francuskiego słowa *cuistres*, jako pogardliwego określenia na pedantów czy nudnych nowobogaczy bez fantazji.

I.K.: Jak wyglądały ostatnie lata życia Tyszkiewiczowej?

J.L.: Odwiedzałem ją w tym okresie, to jest po 1989 roku, kilkakrotnie. Sprawiała wtedy wrażenie osoby niezwykle dzielnej. Była dość słaba, a mimo to wciąż mieszkała sama. Opowiadała o problemach układu pokarmowego i niewiele jadła, na przykład bułeczkę z białym serem na obiad. Systematycznie traciła w związku z tym na wadze. Ciągle energiczna i wesoła, nie przyznawała się do żadnej choroby. Wciąż wspominała ukochanego Stasia. Podobnie jak mój ojciec, nigdy nie narzekała. Oni oboje zawsze powtarzali, że wszystko jest w porządku, że to tylko lekkie osłabienie – być może po to, aby nas nie martwić. Ciotka często bywała u Urszulanek, które się nią opiekowały. Kiedy stało się dla niej jasne, że nie ma już siły, została u nich na stałe i tam zmarła.

I.K.: Czy po śmierci Teresy Tyszkiewicz obserwował Pan wzmożone zainteresowanie jej twórczością?

J.L.: Tak. W sprawie tych obrazów, które pozostawiła po sobie Teresa, dzwoniło do mnie wtedy wiele osób. Był Sławek Boss, ale też inni jej przyjaciele z Łodzi i warszawskie galerie zajmujące się handlem sztuką i wystawiennictwem. Pan Jacek Michalak zaprosił mnie wraz rodziną na piękną wystawę indywidualną mojej ciotki, za co byliśmy bardzo wdzięczni. Mam na myśli wystawę, która odbyła się w Atlasie Sztuki w Łodzi kilka lat temu. W ubiegłym roku dzieła Teresy zaprezentowane zostały na wystawie „Taszyzm” w Fundacji Stefana Gierowskiego w Warszawie. Aktualnie w krakowskiej Galerii Otwarta Pracownia trwa wystawa „Abstrakcja – wokół Władysława Strzemińskiego i Stanisława Fijałkowskiego” i tam też można obejrzeć jej obrazy.

Podstawowym problemem jest jednak to, że galerie, aby normalnie zarobić, muszą coś sprzedawać, a ja mam nieliczne dzieła ciotki. Być może to egoistyczne, ale ja bardzo lubię te obrazy, które mam i nie chcę ich sprzedać.

I.K.: Czy podejmował Pan działania mające na celu promocję sztuki Tyszkiewiczowej?

J.L.: Muszę przyznać, że niespecjalnie. Za mało wiem na ten temat, gdyż nie jestem ekspertem w dziedzinie sztuk plastycznych. Służę jednak pomocą wszystkim badaczom, galeriom i organizatorom wystaw, którzy o nią proszą. Prowadzę również stronę internetową, gdzie prezentuję sylwetki najważniejszych członków rodziny Ledóchowskich, w tym oczywiście ukochanej ciotki Teresy, wzbogacone pamiątkowymi zdjęciami i zachowanymi dokumentami.